11.07 Wyjątkowo wcześnie zaczynam pisać tę kronikę wyprawy, bo na kilka dni przed jej rozpoczęciem, ale to dlatego, że projekt Kumara to nie tylko atrakcyjne zwiedzanie egzotycznych miejsc, ale i ciężka praca młodych i nas opiekunów, żeby wszystko „zagrało”, podczas wyjazdu nie było strat w ludziach i zostały po nim tylko dobre wspomnienia.

No więc pakujemy się… co nie oznacza, że już i za chwilę wylatujemy. Nie. Na wyprawę ruszymy 14. lipca, ale młodzi muszą zabrać koszulki Penepleny i te od sponsorów, konserwy, batoniki energetyczne od darczyńców i co najważniejsze – książki i inne „gifty” dla uczniów szkoły w Galle na Sri Lance i tej w Agrze w Indiach.

Muszę przyznać, że sprawnie poszło. Wszystko dość szybko podzieliliśmy, odebraliśmy saszety z dokumentami i paszportami, ogarnęliśmy media, które będą zdawać relację z naszej podróży i w sumie mogliśmy wrócić do domów, ale okazało się, że mamy śpiocha w grupie, a ten obudzony przez kolegów, a potem mocno pobudzony ruszył do Słowaka. Kumar był „fszczonśnięty”? Mało powiedziane. Przywitał typa ostrą reprymendą i zagroził, że spóźnialski nie pojedzie. Oczywiście, jak to Kumar, wybaczył…

12.07 jeszcze sobota i niedziela w domu… A że wylatujemy w nocy, to mam lekko licząc dwa i pół dnia na relaks w domu. Chop (w sensie – Mareczek) już w blokach startowych. Nie tyle cieszy się, że wyjeżdżam na sześć tygodni, ale będzie musiał ogarnąć moją całkiem sporą kolekcję kwiatów. A to go nieco niepokoi, bo „rąk do kwiatów” u niego nie zarejestrowałam. Doświadczenie z poprzednich wypraw utwierdziło mnie w przekonaniu, że lista na kartce typu: „monsterę podlewasz raz w tygodniu” nie sprawdza się, bo Marek nie odróżnia monstery od zamiokulkasa, więc założyłam grupę na WhatsAppie dla nas dwojga pod hasłem „hodowca z bombowca”, porobiłam zdjęcia roślin i podpisałam każde, informując jak często podlewać…

13.07 Niedziela chyba nam wszystkim minęła spokojnie. Kumar na grupie wyprawowej życzył wszystkim pysznego, rodzinnego obiadu. Tradycyjnego, czyli z rosołkiem, kluchami, roladą i modrą kapustą. Podejrzewam, że reszta grupy, tak jak ja, dopychała jeszcze różne różności do plecaków i cieszyła się ostatnimi godzinami w rodzinnym gronie.

14.07 Od północy budziły mnie smsy z życzeniami urodzinowymi. To nawet było miłe, zważywszy, że zakładałam, że wyśpię się w samolotach. Na lotnisko w Balicach mieliśmy dojechać flixbusem z dworca w Katowicach, bo Kumar zarządził tam zbiórkę o 17.10. I tak zrobiliśmy. Po mnie przyjechali Basia z ojcem i małym Baśki bratem – Julkiem. W stronę Krakowa ruszyliśmy około 18tej i bez przeszkód dotarliśmy na lotnisko. Z grodu Kraka do Szardży wylecieliśmy o czasie. Okazało się, że siedzę obok Witka K., który okazał się świetnym kompanem. Pogadaliśmy i niedługo po starcie „uderzyliśmy w kimono”. Drzemka w samolocie nie należy do najwygodniejszych. Młodym kiwały się głowy, które w końcu lądowały na ramionach współspaczy. Lot przebiegał spokojnie, bez turbulencji. I dobrze, bo Witek „nie przepada za lataniem”, a wyluzowany wyprawowicz to gwarancja świętego spokoju jego opiekuna. Próbowałam mu streszczać kolejne odcinki serialu „Katastrofy w przestworzach”, ale jego mordercze spojrzenie skutecznie studziło mój entuzjazm gawędziarki. W końcu zasnęliśmy.

15.07 Obudziliśmy się lądując w Emiratach. Miało wszystko sprawnie potoczyć się dalej, tymczasem dość długo nie mogliśmy opuścić maszyny, bo był jakiś problem z busem, który miał nas podrzucić do terminala. Ta odsiadka w samolocie się niebezpiecznie wydłużała. Wiedzieliśmy, że między lotami mamy raptem 50 minut a to niewiele, biorąc pod uwagę, że trzeba wejść do drugiego samolotu, mijając kolejne „bramki", a po drodze wydrukować bilety na ten drugi rejs dla większości członków grupy, bo nie udało się tego jakoś zrobić w Krakowie. Niby nie miało być z tym najmniejszego problemu, tymczasem był. A czas do odlotu skurczył się niemiłosiernie. Kumar i Grace próbowali ogarnąć sprawę, ja krążyłam z Anią L. od jednego do drugiego z dosyć ciężkim bagażem podręcznym szefa. Po kilkunastu minutach przepychanek stało się jasne, że nie polecimy. Kolejne informacje były lekko przytłaczające, bo rejs, na który nas przebukowano był dopiero o 21ej. Miny młodych były bezcenne, a pewnie i moja nie lepsza. Ale… Kumar bywa niezłomny i teraz też twardo negocjując, załatwił nam HOTEL z możliwością zjedzenia śniadania i obiadu. To już nam zabrzmiało bardzo kusząco. A zatem dostaliśmy nowe bilety, wzięliśmy podręczne bagaże i cały nasz PINK TEAM został busem odstawiony do wspomnianego Rotans Hotel. Przemiła obsługa tego przybytku sprawnie się nami zajęła, czyli zabrano nasze paszporty na recepcję, a nas skierowano do sali z pięknie i kolorowo zastawionymi stołami. Czego tam nie było? Różnego rodzaju dania na ciepło dla mięsożerców i wegetarian, sałatki, kiszonki, hummusiki, pieczywko, słodkości, jogurty, owoce… No więc próbowaliśmy kosztowaliśmy i dokładaliśmy sobie na talerze te smakołyki. A potem przydzieliłyśmy (Grace i ja) młodym pokoje i same poczłapaliśmy na drugie piętro do naszej komnaty wziąć prysznic i zdrzemnąć się w pozycji horyzontalnej po nocnych i porannych przygodach awiacyjnych. Kumar podobnie. Nie przyszło nam do głowy wychodzić poza hotel, bo na zewnątrz panował upał sięgający 44 stopni i prawdę powiedziawszy nic ciekawego w pobliżu nie było. O 14tej poszliśmy na obiad i wróciliśmy do pokoi na poobiedniej drzemki ciąg dalszy. A około 18.30 busikiem odstawiono nas na lotnisko i znowu zaczęliśmy czekać, bo samolot do Colombo miał opóźnienie. W końcu wznieśliśmy się, by po pięciogodzinnym locie z turbulencjami wylądować na Sri Lance. Bagaże doleciały z nami i małą niespodzianką w jednym z nich, czyli z rozwaloną konserwą mięsną. Plecak z „wybuchnietą" goloneczka należał do Tosi M., która zgodziła się przewieźć kilka rzeczy Andrzejowi M., bo ten oczywiście wpakował do swojego bagażu pół domu i gdyby nie koleżanka, to pewnie dopłacałby za nadbagaż. Powiem tyle, że chłopak zabrał z domu nawet obrus, żeby nasze indyjskie posiłki wyglądały jak trzeba. Wracając do konserwy, Andrzejek M. sprawnie jak na harcerza przystało owinął tę „bombę" workiem na śmieci i triumfalnie obwieścił, że skonsumuje rzeczoną puszkę wespół w zespół z wykupionym dla grupy śniadaniem. Ps. Pierwsze dwa dni tej wyprawy przyniosły też kilka innych zaskoczeń i niespodzianek. Mnie aż dwa razy zaatakowały… drzwi. Wejściowe na piętrze hotelu i te w kabinie prysznicowej, które z charakterystyczną dla tej części świata były zamontowane z iście „zegarmistrzowską precyzją", czyli odpadły od ramy prosto na mnie biorącą kąpiel. Kumar dla odmiany odkąd wyjechaliśmy walczy z zegarkiem, który zaczął żyć własnym życiem i pokazuje każdą możliwą godzinę oprócz tej właściwej, a poza tym wysyła szefowi przedziwne powiadomienia.
Ps.2 Kumar okazał się ornitologiem głęboko współodczuwającym trudy egzystencji ptaków w gorących jak piec Emiratach. Na razie tyle…